



Kryminał z myszką

70

Czy Pan pamięta, inżynierze?

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

CZY PAN PAMIĘTA, INŻYNIERZE?

Kryminał z myszką – Tom 70

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-79-9

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1975, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Szedł za nim krok w krok. Chociaż co chwila rozdzielali ich przechodnie, nie spuszczał oczu z tego wysokiego mężczyzny w ciemnym płaszczu i wciśniętym na głowę, zabawnie przekrzywionym na bok kapeluszu. Tamten zawsze tak nosił kapelusz, jakby z przekory.

Minęli ulicę Żeromskiego, skręcili w prawo i zapuścili się w labirynt nie oświetlonych chodników osiedla. W późny wieczór wrześnie było tutaj prawie pusto.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu zatrzymał się nagle i odwrócił, ale człowiek, tropiący go niczym pies myśliwski, zdążył błyskawicznie wcisnąć się pomiędzy ściany murowanego śmietnika i niskiego, długiego budynku administracji osiedla. Przyczał się, wstrzymał oddech. Teraz! – pomyślał. – I tutaj.

Nie mogli się zetknąć twarzą w twarz; tamten z miejsca zorientowałby się, o co chodzi. Obydwaj mieli przy sobie broń, ale tylko jeden z nich chciał zrobić z niej użytek i dążył do tego wytrwale już od paru dni. Teraz wreszcie – tak przynajmniej sądził – nadarzała się najlepsza okazja.

Wysoki postać chwilę, rozglądając się dokoła. Potem, uspokojony widać, ruszył naprzód. Wówczas idący za nim człowiek przesunął się parę kroków dalej i odbezpieczył pistolet. Wiał silny wiatr, na chodniku szeleściły jakieś papiery. To sprzyjało ścigającemu. Przebiegł wzdłuż ściany niskiego budynku i przylgnął do niej tuż za rogiem. Tamten był teraz w polu widzenia – jak zając na pustym kartoflisku, całkowicie odsłonięty i bezradny, choć z pewnością uzbrojony.

Tym lepiej – pomyślał tropiący. – Nieładnie zabić bezbronnego. Uśmiechnął się ironicznie i wyciągnął rękę. Trzy sekundy... dwie... jedna. Wiatr zagłuszył świst pocisku, zresztą pistolet miał dobry tłumik. Wysoki drgnął, przeszedł jeszcze kilka kroków, zachwiał się, rozłożył ręce i upadł ciężko na chodnik. Nie zdążył nawet krzyknąć.

Duży szary kot wyskoczył ze śmietnika i wpadł pomiędzy domy, wystraszony ludzkimi sprawami. Morderca był już teraz o sto metrów dalej, wrócił na ulicę Żeromskiego i spokojnie szedł do tramwaju, który nadjeżdżał właśnie Marymoncką.

*

Kapitan Szczęsny z sekcji zabójstw Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej miał nocny dyżur. Siedział w gabinecie majora, bo stał tam wygodny, stary fotel i można było podrzemać, jeżeli noc mijała bez wydarzeń. Wszelkie kradzieże, włamania, rozboje nie obchodziły „tych od zabójstw”. Oni mieli swoje, najcięższe zresztą, zadania.

Zaparzył kawę, zjadł chleb z kielbasą, potem jabłko. Zapalił giewonta, wyciągnął się w fotelu i otworzył książkę, kupioną właściwie spod lady. Był to „Oddział majora Hubala” M. Szymańskiego. W kinach szedł właśnie film „Hubal” z Ryszardem Filipskim w roli majora, ludzie tłumnie walili na wszystkie seanse.

„...Trzymali się mocno. Już rozszedł się po linii rozkaz: Szybciej strzelaj! Bagnet na broń! – gdy z prawego skrzydła rozległ się okrzyk: Hura! To Bem i Rodziewicz poderwali swoich. I zaraz...”

Parokrotnie nawoływał telefon, zanim Szczęsny ocknął się i sięgnął po słuchawkę.

– Oficer dyżurny sekcji zabójstw, słucham.

– Kapitan Szczęsny? – Poznał głos Kisielaka ze stanowiska dowodzenia.

– Tak. O co chodzi? – Zerknął do książki: „I zaraz piechurzy skoczyli naprzód. Niemcy pierzchli...”

– Macie robotę. Na Żoliborzu, facet. Dzielnica powiadomiła.

– Zabójstwo? – Jeszcze się ociągał, może jakiś pijak przejechał się na drugą stronę, bo wypił o pół litra za dużo. Wystarczy, że załatwi to komenda dzielnicowa.

– Tak. Postrzał z pistoletu. Radiowóz czeka, kapitanie.
 – Z pistoletu? – Szczęsny zdumiał się. Takie rzeczy zdarzały się w stolicy bardzo rzadko. – To cywil?
 – Podobno tak, nie wiem dokładnie. – W głosie Kisielaka była odrobina irytacji, w końcu nie on miał się tym zajmować.
 – Dobra, już schodzę.
 Z żalem odłożył książkę. Wiedział, że teraz nieprędko dowie się, co zrobił major „Hubal”, kiedy Niemcy pierzchli... Narzucił kurtkę, zdusił giewonta i wyszedł na schody.

*

Zabity mężczyzna leżał na chodniku, twarz miał przykrytą gazetą. Obok stały dwa radiowozy. Oficerowie z kryminalnego KD MO na Żoliborzu rozmawiali ze sobą półgłosem. Lekarz milicyjny pozdrowił Szczęsnego skinieniem głowy i kończył swoją robotę. Paru funkcjonariuszy trzymało w przyzwoitej odległości grupę mieszkańców okolicznych domów, którzy jakimś cudem dowiedzieli się już o wydarzeniu.

– Kto to jest? – spytał kapitan nieosobowo. Przykląkł obok ciała, zdjął gazetę.
 – Jan Wilczak, pracownik umysłowy z Przedsiębiorstwa Usług Technicznych „Jedność”
 – odpowiedział porucznik Madej, podchodząc bliżej. – Tak wynikałoby z dokumentów.
 – A naprawdę?
 – Naprawdę chyba też. Mieszka... to znaczy mieszkał tu niedaleko, pod szesnastym. Jest gospodarz domu – pokazał na łysego mężczyznę, okutanego w długą jesionkę, spod której widać było pasiaste spodnie od piżamy. – Znał go.
 – Ten Wilczak miał przy sobie pistolet – dorzucił kapitan Skowroński. – FN, kaliber 7.65.
 – Sprawdziłeś? – Szczęsny nie odrywał oczu od twarzy zabitego, jakby chciał wyczytać z niej przebieg wydarzeń.
 – Tak. Nierejestrowany. Bez zezwolenia na broń.
 – I nosił go przy sobie?!
 – Właśnie, mnie też to dziwi. Widać się czegoś bał.
 – Czym dostał?
 – Chyba ten sam kaliber. W plecy, prościutko pod lewą łopatkę. Z odległości siedmiu, może dziewięciu metrów.
 – Masz łuskę?
 – Nie. Szukają.
 Szczęsny podniósł się z klęczek, otrząsał kolana. Napotkał przestraszony wzrok dozorczy spod szesnastego i przywołał go ruchem głowy.
 – Co pan o nim wie? – spytał cicho, aby tłum nie słyszał.
 – Panie, co ja mogę wiedzieć! – Łysy westchnął, podreptał w miejscu. – Lokator był porządny, spokojny. Rano wychodził do pracy, wracał wieczorem.
 – Sam mieszkał?
 – Sam. W kawalerce na drugim piętrze.
 – Przychodził kto do niego?
 – Pewnie, że przychodzili. Ale rzadko.
 – Kto?
 – Różni, tam... Panowie jacyś. Ja ich nie znam.
 – Obcy czy z tego domu?
 – Z domu, to chyba nikt. Pan Wilczak, można powiedzieć, nie zadawał się z sąsiadami. Uprzejmy był, owszem, ale nietowarzyski. Nerwowy bardzo.
 – Co to znaczy: nerwowy? Awanturował się, chorował?

– Chorować to chyba nie. Awantur też nie robił, ale taki był jakiś... no, w mowie taki nerwowy, prędki, byle co go gniewało.

– Zawsze taki był?

Dozorca pomyślał chwilę.

– A wie pan, że nie! Dopiero ostatnio. Może miesiąc albo dwa.

– Długo tu mieszkał?

– Długo nie, bo w sierpniu minął rok, jak nasz dom postavili. To nowe osiedle. Jeszcze się buduje, tam, za szkołą.

– Nie wie pan, czy ten Wilczak miał rodzinę? Trzeba przecież kogoś zawiadomić o śmierci – wtrącił Skowroński.

– Nie wiem, proszę pana. Może i miał. Myślę, że u niego w pracy będą wiedzieć.

Do chodnika wolno podjeżdżał ambulans z Miejskiego Przedsiębiorstwa Pogrzebowego. Tłum gapiów zakotłosał się, zaszeptał strwożony i naparł mocniej na milicjantów.

– Proszę się odsunąć! Proszę zrobić miejsce – powtarzali stanowczym tonem. – Dzieci, do domu! Niech pani zabierze dziecko, nie ma tu nic do oglądania.

– Proszę pana, a co mu się stało? – spytał ktoś z bliżej stojących.

– Umarł.

– Na serce?

– Może na serce, może na co innego. Widział pan, jak upadł?

– Nie. Byłem w domu.

– A pan? A pani widziała?... Nie? No to proszę iść do domu.

– Jak na serce, to po co tyle milicji? – bąknął ktoś inny.

– Przeszkadzamy panu? Proszę się odsunąć, samochód musi tu zakręcić. Proszę iść do domu! Co za ludzie, jak pragnę zdrowia!

– Byliście już w jego mieszkaniu? – spytał Szczęsny kolegów z dzielnicy.

– Jeszcze nie. Tu są klucze. – Porucznik potrząsnął skórzanym futerałem. – Miał w kieszeni płaszcz.

– No, to chodźmy. Może... – urwał, bo z tłumu nadstawiło się natychmiast kilkanaście par ciekawych uszu.

Odeszli razem z technikiem śledczym, fotografem i łysym dozorcą. Parę osób pobiegło za nimi. To byli lokatorzy spod numeru szesnaście, ci mieli prawo widzieć i słyszeć więcej. Reszta z żalem rozchodziła się do domów, żywo komentując zdarzenie.

Wilczak zajmował niewielki pokój z łazienką i mikroskopijnym przedpokojem. Stała tu kuchenka gazowa, a na ścianie wisiała szafka. Technik rzucił okiem na meble, otworzył walizkę śledczą i zajął się zbieraniem na folię śladów linii papilarnych.

– Pozdejmujcie, ile się da – rzekł niepotrzebnie kapitan Skowroński. Był pedantem, wierzył przede wszystkim w „technikę” i w rezultat roboty, opartej na dowodach rzeczowych. W skomplikowane, psychologiczne motywy przestępstwa pozwalał sobie wątpić. „Istnieją tylko trzy przyczyny zabójstw – mawiał do młodszych kolegów, bo starsi już nawet nie chcieli tego słuchać. – Pieniądze, baba i zemsta. Wszystko inne obraca się dokoła tych trzech motywów”.

Technik w ogóle nie zwrócił uwagi na jego słowa. Znał swoją robotę i wiedział, jak wiele zależy od prawidłowego zebrania dowodów rzeczowych, ale – w przeciwieństwie do Skowrońskiego – wierzył również w „psychologię”.

Skrupulatnie przeglądali mieszkanie. Łysy dozorca w milczeniu asystował ich szybkiej, fachowej robocie, wzdychając od czasu do czasu. W dołku czuł nieprzyjemny ucisk, który wzmagął się, ilekroć przypominał sobie twarz zabitego Wilczaka.

– Jakby się dziwił – mruknął w pewnej chwili sam do siebie.

Szczęśny dosłyszał i zrozumiał. On też zauważył wyraz ogromnego zdumienia w poszarzałych rysach zmarłego. Widać wcale nie spodziewał się śmierci, która przyszła, zaczajona, zza węgła i w jednej sekundzie przerwała wszystko.

W pokoju, prócz tapczana, szafy i dwóch krzeseł, stało nieduże biurko. W jego szufladach mieściły się dokumenty, listy, rachunki i fotografie, cały ten domowy śmietnik, miły każdemu człowiekowi, bo własny. Pracowali niemal w milczeniu; wszystko, co mogło naprowadzić na jakikolwiek ślad, odkładali na bok, do późniejszego sprawdzenia.

– Kto znalazł ciało? – spytał Szczęśny, który raz już o to zapytał, ale odpowiedź uciekła mu z głowy.

– Dzielnicowy – odparł Madej. – On tu mieszka, pod czwartym. Wracał do domu i prawie wlaź na zwłoki, bo tam jest ciemno.

– Znał Wilczaka? Będzie nam potrzebny.

– Tylko z widzenia. Czekają na nas w komendzie.

– Dobrze.

Gdzieś po północy Skowroński usiadł zmęczony na tapczanie i rzekł z niechęcią:

– Barachło! Chyba nic nam to nie da.

– Rzeczywiście – przytaknął porucznik. – Same mało ważne papiery. Nigdy bym nie przypuścił, że taki całkiem zwyczajny, przeciętny facet ma nielegalnie broń. I w dodatku nosi przy sobie. O co tu chodziło?

– To wcale nie musi być zwyczajny facet. – Szczęśny przyglądał się zbiorowej fotografii, robionej zimą, chyba w Zakopanem. Grupka uśmiechniętych kobiet i mężczyzn, pomiędzy nimi Wilczak z nartami na ramieniu. – Człowiek, który ma nielegalnie broń, na pewno nie będzie trzymał w biurku kompromitujących dokumentów. Pistolet trzeba rano posłać do Zakładu Kryminalistyki. Ja pojedę z samego rana do tej „Jedności” czy jak tam się...

– Kapitanie, tu coś jest! – zawołał z łazienki technik. – Chyba skrytka.

Nad wanną, trochę z boku, bliżej drzwi, wisiała biała lakierowana apteczka. Technik zdejmował ją teraz ostrożnie, gdyż dojrzał za nią coś, co go zaintrygowało. Wśród niebieskich kafelków ze sztucznego tworzywa widniał ledwie widoczny zarys zamaskowanego otworu, ukrytego pod jednym kaflem.

– Zdjęcia – rzekł Szczęśny do fotografa. Stał na dnie wanny i delikatnie przesuwając palcami po niebieskim kafelku. Patrzyli uważnie na jego ręce. Nagle usłyszeli leciutki trzask, jakby ktoś zamknął torebkę. Kafel odskoczył, w głębi była skrytka.

Fotograf przechylił się Szczęśnemu przez ramię, pstryknął parę razy. Kapitan bez słowa wyciągnął rękę do tyłu. Madej podał mu gumową rękawiczkę, pomógł nasunąć. Potem wszystko, co było tak przemyślnie ukryte, zostało przeniesione na stół i dokładnie sfotografowane.

– No tak – powiedział Szczęśny z odrobiną żalu. – Nie dla nas robota.

– Zejdę do radiowozu... – Skowroński rozejrzał się, nie, Wilczak nie miał telefonu – i zawiadomię, kogo trzeba.

Porucznik spojrzał na dozorcę, zasłonił sobą stół.

– To taki ptaszek!

Szczęśny oglądał rozłożone akcesoria szpiegowskie. Nie wszystko znał, niejednego tylko się domyślał. Były tu chemikalia, małe plastikowe fiołki, miniaturowy aparat fotograficzny, plik zagranicznej waluty, szyfry, a także tzw. szpiegowski zestaw pytań, na które odpowiedzieć mieli płatni lub przygodni informatorzy agenta. Rozpoznał mały nadajnik, nazywany przez szpiegów pluskwą – można go było przykleić wszędzie, nawet do czyjegoś ubrania. Nie brakowało oczywiście szklanej ampułki, prawdopodobnie ze znany z historii wywiadu płynem „L”, zawierającym kwas pruski. To na wypadek wsypy. Jan Wilczak

widocznie jednak albo wsypy nie przewidywał, albo też nie miał ochoty na dobrowolne zejście z tego świata, bo w myśl reguły powinien był ampulkę nosić przy sobie.

– Pierwszy raz to widzę – rzekł Madej. – To znaczy – poprawił się – widziałem u nas, na szkoleniu. Ale żeby tak naprawdę, u kogoś...

– Myśleliście, że oni istnieją tylko w powieściach sensacyjnych – uśmiechnął się kapitan.

– Nie, ale po prostu nigdy jeszcze nie miałem z tym do czynienia.

Wrócił Skowroński. Naradziwszy się chwilę, odesłali do domu łysego dozorcę. O tym, co tu znaleźli, nie powinien wiedzieć.

– Panie, a co ludziom mówić, jakby mnie pytali? – spytał odchodząc. Chciał być w porządku wobec władzy, zależało mu jednak na dobrych stosunkach z lokatorami. Władza pójdzie, lokatorzy zostaną.

– Nic. Cóż pan może im powiedzieć? – Szczęsny przyjrzał mu się dobrotliwie, ale spojrzenie czarnych oczu było ostre i dozorca poczuł się nieswojo. – Przecież pan nic nie wie. Jan Wilczak nie żyje. Jak zawsze, kiedy następuje nagły zgon, będzie śledztwo. Jutro prawdopodobnie okaże się, że zmarł na zawał, i śledztwo umorzemy. To wszystko.

– No, tak. To dobranoc. A... tego, a klucze od mieszkania? Jakby mnie w administracji pytali?

– Zapięczętujemy drzwi. Klucze jutro sami oddamy w administracji. Teraz przecież noc.

Kiedy dozorca wyszedł, Skowroński powiedział:

– Zawiadomiłem oficera dyżurnego. Musimy poczekać na tamtych.

*

Pułkownik Czerniak odsunął teczkę i popatrzył na swego towarzysza z powątpiewaniem.

– Sądysz, że to był nasz poszukiwany „Cywil”?

– Tak.

– Po tym śmieciu, który miał w skrytce nad wanną? Nonsens.

– Ładny mi śmieć – mruknął major Polewski.

– Cztery mikrofilmy z wojskowego lotniska na Wybrzeżu, materiał wybuchowy, kwas pruski na zakąskę, nie mówiąc już o typowo szpiegowskim aparacie fotograficznym typu „Za-128”. Ostatnie cudo japońskiej techniki!

– Poczekaj. – Pułkownik wziął do ręki długopis, wyciągnął kartkę papieru i zaczął coś rysować, a potem podsunął kartkę Polewskiemu.

– Wiesz, co to jest?

Major przyjrzał się, wzruszył ramionami.

– Pewnie, że wiem. To jest właśnie „Za-128”. Bardzo charakterystyczny kształt kamery. Taki sam właśnie... – urwał, zmarszczył brwi.

– Na pewno taki sam?

– Nie. Nie na pewno. Ale w takim razie to była jakaś odmiana? Inny typ?

– Stary typ, jak na taką aparaturę. Sprzed dwóch lat. Mniejsza o to, chociaż „Cywil” z pewnością jest wyposażony w najnowocześniejszą technikę. Jedźmy dalej. Przejrzałeś dokładnie te plany lotniska?

Polewski uśmiechnął się przelotnie. Wstał, pochodził po gabinecie swego szefa. Był bardzo wysoki, niemal chudy, ciemne włosy odrzucał co chwila z czoła szybkim ruchem głowy. Wsadził ręce w kieszenie spodni i stał, zamyślony, pod oknem. Czerniak czekał cierpliwie.

– Przejrzałem niedokładnie – odparł wreszcie major, siadając z powrotem w fotelu. – Wybacz, ale nie przydzieliłeś mi jeszcze tej sprawy, więc nie zająłem się nią tak, jak trzeba.

– Ja ci nie stawiam zarzutów, tylko pytam. Plany są fałszywe.

– A wiesz, że to zaczyna być interesujące. Ktoś sprzątnął szpiega, który źle wypełniał zadania? Albo który umyślnie... Nie, to byłoby zbyt proste. Czy my nic nie wiemy o tym Wilczaku?

– Jak dotąd, nic. Milicja, na naszą prośbę, prowadzi dalej dochodzenie w sprawie zabójstwa. Od dziś będziemy to robić razem z nimi, każdy po swojej linii.

– Kto to ma w milicji?

– Kapitan Szczęsny. Nasz stary znajomy.

Roześmieli, się.

– Świetny facet – rzekł Polewski z uznaniem. – Pamiętasz, jak razem goniliśmy tego pseudo-Holendra, Schultza? I jak Szczęsny wlał do kanału pod fabryką?

– Przyłapał tam Michlerskiego. Tak, Szczęsny to dobry towarzysz bojowy. Trochę partyzant, ale odważny i doświadczony. Lubię takich. No, więc chcę ci powierzyć sprawę Wilczaka. Ze Szczęsnym będzie wam się dobrze pracować. Kryptonim sprawy: „Cywil”. Bo sądzę, że jednak w jakiś sposób zahacza o naszego „Cywila”.

– Co my o nim wiemy? Niewiele. Że zjawił się w Polsce z zadaniem „rozsadzania od wewnątrz”. Że jest specjalistą od przywabiania inżynierów i techników, co mu się zresztą do tej pory raz udało...

– Tak przypuszczamy. Być może, udało mu się kilka razy.

– Cóż jeszcze? Że... – Polewski nagle potarł ręką czoło, chciał sobie przypomnieć tamten przypadek. – Słuchaj, Marian! Kiedy dowiedzieliśmy się, że „Cywil” skaptował do swojej roboty inżyniera Skąpskiego, i już mieliśmy go zdjąć, znaleźliśmy tylko zwłoki inżyniera.

– Zginął w wypadku samochodowym, jeżeli pamiętam.

– Chciałbym to zbadać jeszcze raz. Nie prowadziłem sprawy, ale pomagałem trochę Szymczakowi. Z tym wypadkiem nie wszystko było jasne.

– Myślisz, że przedtem Skąpskiego, a teraz Wilczaka zabił „Cywil”? Ale dlaczego? Przecież Wilczak nie był żadnym specjalistą-elektronikiem, nie pracował, jak Skąpski, w fabryce produkującej dla wojska. Co prawda nie mam pojęcia, czym zajmuje się Przedsiębiorstwo Usług Technicznych „Jedność”, ale bardzo wątpię, żeby miało ono kontrakty ściśle tajne. Zresztą, zbadaj to. Jeżeli cokolwiek robią dla wojska, u nas w wydziale będą o tym wiedzieli.

– Widzę z tego, że współpraca ze Szczęsnym rzeczywiście jest konieczna. Będzie sporo roboty. Daj mi zgodę na akta sprawy Skąpskiego, bo Szymczak leży na nich ciągle jak pies na kości i warczy. Bez twojej pomocy nie dam sobie z nim rady.

Czerniak roześmiał się.

– Taki zawzięty? Dobrze, powiem mu.

– „Cywil”. Ten cholerny „Cywil”! – mruknął major. – Czy nie mamy żadnego rysopisu?

– Nie. Może być stary albo młody, mężczyzna albo kobieta...

– Za wiele chcemy wiedzieć od razu – rzekł Polewski. – Skąpski mógł rzeczywiście zginąć w wypadku. Cholera, zbadam to. Umówię się teraz ze Szczęsnym. – Siadł przy telefonie, nakręcił numer komendy.

*

Kapitan Szczęsny z pewnym rozrzewnieniem spojrzał wpierw na rozwichrzone, ciemne włosy Polewskiego, a potem na uśmiechniętą twarz długonogiego oficera kontrwywiadu.

– Znowu razem, co? – Mocno uściśnął jego dłoń. – Siadaj, Tadeusz. Na tę okazję przygotowałem nawet koniak.

– On łże, majorze! – odezwał się porucznik Kręglewski, równie serdecznie witając Polewskiego. – Marynuje ten koniak jeszcze od lipcowego święta. Sknera, nawet powąchać nie da!

– Nie gadaj tyle, przynieś lepiej kieliszki od „starego”. Są w jego gabinecie.

– Akurat! Tam jest przecież odprawa z szefem prokuratury.

– Prawda, zapomniałem. No, to wypijemy ze szklanek, trudno. Nie zdobyłem się jeszcze na kryształowe kielichy.

– Nie szkodzi, wypijemy i ze szklanek – śmiał się Polewski. – Dużo tego nie masz, pół butelki.

– Ale zagrycha jest – dumnie oświadczył Kręglewski, kładąc na biurku paczkę słonych paluszków.

– To też od lipcowego święta – mruknął Szczęsny. Nalał koniaku, tręcili się. – Za pomyślność nowej sprawy, chociaż nie wiem jeszcze, o co chodzi.

– Oby nam się.

Kręglewski zorientował się, że jego obecność za chwilę będzie zbędna. Pokręcił się więc po pokoju, który zajmowali razem ze Szczęsnym, zabrał jakieś akta i wyszedł.

– Więc tak – zaczął Polewski. Otworzył teczkę, wyjął kilka dokumentów, położył na biurku. – Prowadzisz sprawę Wilczaka?

– Aha, to o to... Powinienem być się domyślić. Prowadzę, chociaż nie wiem dlaczego, bo to przecież wasza robota.

– Nasza. Wspólna. Ty, po milicyjnej linii, szukasz zabójcy Wilczaka. A ja działam po swojej. Też szukam zabójcy, chociaż nie tylko. Musimy to zgrać, zresztą podzielimy się robotą. Masz już jakieś wyniki?

Szczęsny zaprzeczył ruchem głowy. Od zabójstwa Wilczaka minęły trzy dni. Przez ten czas odwiedził dwukrotnie przedsiębiorstwo „Jedność”, gdzie powiedziano mu, że Jan Wilczak nie wspominał nigdy o żadnych krewnych i że był to pracownik o nieskazitelnej wprost opinii. Dyrektor „Jedności”, przestraszony i zdumiony, powtarzał tylko w kółko: „Co za nieszczęście! Kto to mógł zrobić!”, czym tak zirytował Szczęsnego, że ten bez pożegnania wyszedł z gabinetu. Więcej opanowania w rozmowie z oficerem wykazał kadrowiec. I on jednak nie mógł zrozumieć, kto i z jakiego powodu zabił tak spokojnego człowieka, jak Jan Wilczak.

Kadrowiec próbował przypomnieć sobie, czy zmarły miał wrogów, czy wpłatał się w jakąś miłosną aferę względnie grał na wyścigach, popadł w długi i tak dalej. Nic z tego jednak mu nie pasowało.

Wilczak nie miał w „Jedności” przyjaciół w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Koledzy lubili go, więcej lub mniej, koleżanki nazywały mrukiem, choć wszystkie przyznawały, że był dla nich uprzejmy. Bardzo rzadko ktokolwiek z nich odwiedzał Wilczaka w domu. Zdarzyło się to dwa, może trzy razy, w czasie epidemii grypy i kiedy Wilczak złamał nogę na nartach. Szczęsny pokazał niektóre fotografie, znalezione w biurku w mieszkaniu zabitego. Na żadnej z nich nie było jednak biurowych kolegów i koleżanek. Wilczak pracował w „Jedności” od niespełna trzech lat, widocznie więc zachował na pamiątkę zdjęcia dawnych swoich znajomych.

Trzeba teraz było pójść śladem tych fotografii, sięgnąć do przeszłości Wilczaka, trafić do jego poprzednich miejsc pracy, miejsca urodzenia, uczelni, w której studiował, domu, w którym kiedyś mieszkał.

– To będzie twoja robota – rzekł Polewski. – Bardzo ważna. Zwłaszcza ważne są dla nas jego kontakty. Mamy pewne dane, aby przypuszczać, że został sprzątnięty przez agenta obcego wywiadu, noszącego pseudonim „Cywil”. Wiemy o nim tylko, że grasuje w Polsce od

roku, a celem, dla którego został tu przysłany, jest nawiązywanie bliższych znajomości z inżynierami, pracującymi w ten czy inny sposób dla wojska. Wiemy, że „Jedność” produkuje pewne części do radarów. Są to detale absolutnie niewinne, zwykłe na pozór blaszki specjalnego kształtu. Rzecz w tym jednak, że dobry fachowiec zorientuje się, do czego służą. A poza tym ktoś z przedsiębiorstwa prawdopodobnie zawoził je do jednostki. Może pomagał przy montażu. Ustalimy to jeszcze dokładnie.

– Nie trzeba – powiedział Szczęsny. – Po detale przyjeżdżali zawsze wojskowi, sami odbierali i sami montowali. Nigdy nie wysyłano transportu z „Jedności”.

– A niech cię diabli! – Polewski klepnął go po ramieniu. – Tyś powinien u nas pracować.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI